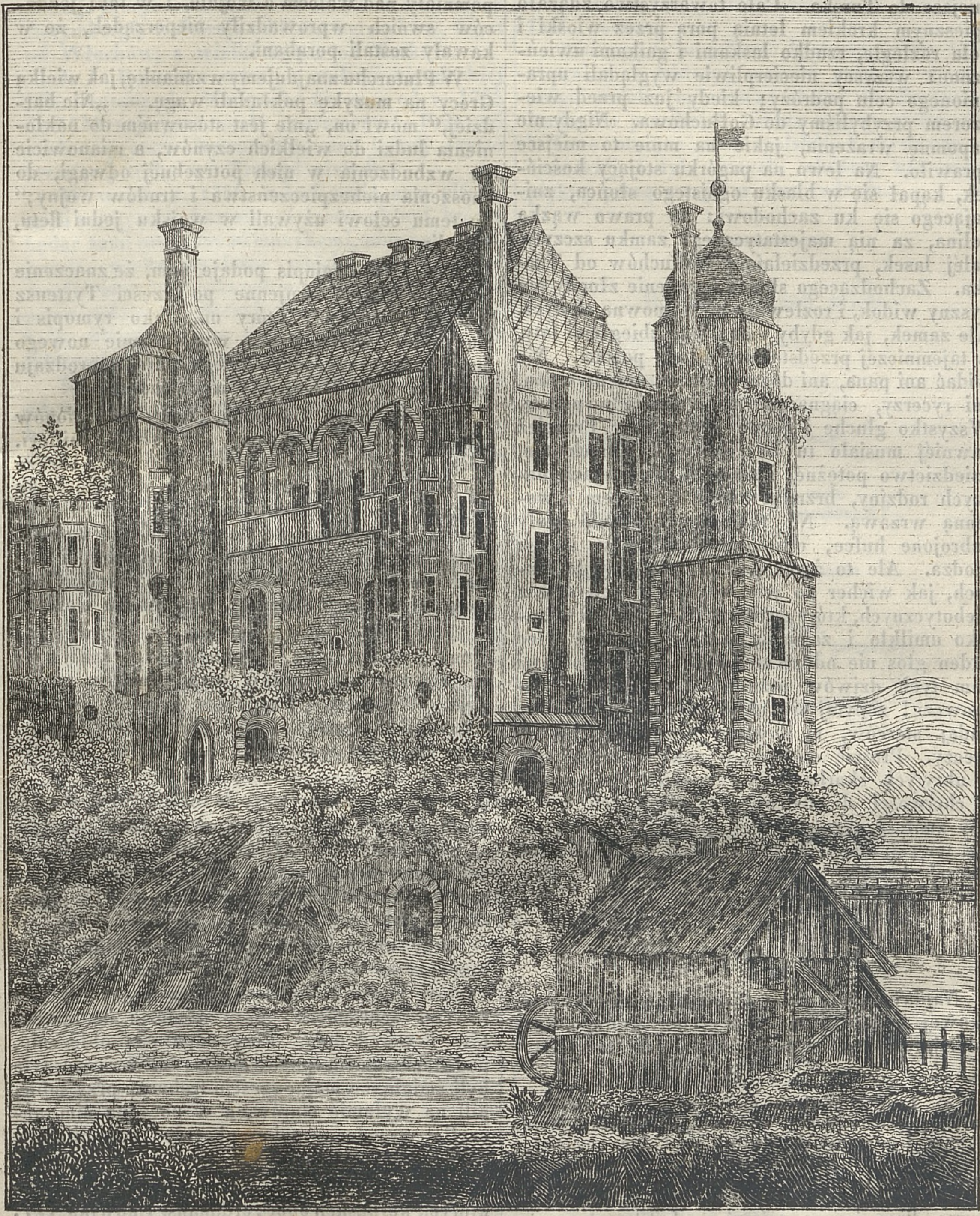
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 21.** Leszno, dnia 24. Listopada 1838.



Golluchów.

Gołłuchów. *a*)

Byłem wtenczas dziewięcioletnim chłopcem, kiedy w dość liczném gronku pobożnych, w szczeréj serca prostocie, z prawdziwie religijném uczuciem, w towarzystwie ukochanéj matki, pielgrzymowałem pieszo z Ostrowa na cudowne miejsce do Turska. Całe towarzystwo zdążało spiesznym krokiem letnią porą przez wioski i pola rozległe, rzadko laskami i gaikami uwieńczone: wszyscy niecierpliwie wyglądali upragnionego celu podróży; kiedy już przed wieczorem przybyliśmy do Gołłuchowa. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie to miejsce sprawiło. Na lewo na pagórku stojący kościółek, kąpał się w blasku ognistego słońca, zniżającego się ku zachodowi: na prawo wązka dolina, za nią majestatycznego zamku szczyty, daléj lasek, przedzielający Gołłuchów od Turska. Zachodzącego słońca promienie złociły ten pyszny widok, i rozlewały niewymowną słodycz. Ale zamek, jak gdyby dumał nad zbiegłemi laty, w tajemniczéj przedstawiał mi się postaci. Nie widać ani pana, ani domowników, ani dworzan, ani rycerzy, ciągnących na wojenną wyprawę. Wszystko głuche i nieme bez życia. Przecież dawniéj musiało tu być inaczéj. Zamek ten, dziedzictwo potężnéj i sławnéj w dziejach naszych rodziny, brzmiał niegdyś weselem i wojenną wrzawą. Na rozległéj równinie stały uzbrojone hufce, oczekujące rozkazów swego wodza. Ale to życie przehuczało w jego murach, jak wicher po wierzchołkach tych drzew niebotycznych, które go otaczały. Więc już wszystko umilkło i zamarło na zawsze! Już więc żaden głos nie odezwie się do nas i nieobjawi nam tych dziwów przeszłości! Ciekawy wędrowcze! zapytaj się okolicznych wieśniaków, badaj starców, a dowiesz się niesłychanych rzeczy. Prawić ci będą o zaklętych duchach, o ukrytych skarbach pod znakiem wiewiórki, o chciwości dziedziców rozwalających mury, aby znaleść ukryte w nich skarby; tam dowiesz się więcéj, niżeli z zbótwiałych papierów, lub starych kronik. *P.*

Muzyka wojskowa.

Najdawniejsze ślady historyczne muzyki wojskowéj sięgają zdobycia Jerycho, którego mury od odgłosu trąb armii izraelskiéj się zawaliły.

a) Leży w powiecie pleszewskim, w wielkiém x. pozn., niedaleko Prosny, dwie mile od Kalisza, gniazdo sławnéj Leszczyńskich familii, miał być zbudowany w r. 1507 przez Rafała z Leszna, generała wielkopolskiego: pokoje w nim sklepione, lecz obecnie zdaje się być na ruinę przekazany. Trwała jego budowa, zapewne długo jeszcze opierać się będzie zniszczeniu, świadcząc o potędze ubiegłych, i niedbalstwie teraźniejszych cz..sów.

Znajduje się nieomal równoczesne podanie podobnego zwycięztwa, które, za pomocą muzyki otrzymano. Konie Sybarysu, były, jak nas historya uczy, tak wyćwiczone, że podług taktu pewnych sztuk muzycznych tańczyły. Krotonianie wystarali się potajemnie o te sztuki, i kazali je na placu bitwy grać; konie Sybarytanów zapomniały nad walcem o wojnie, i w taki jeźdźców swoich wprowadziły nieporządek, że w kawały zostali porąbani.

W Plutarchu znajdujemy wzmiankę, jak wielką Grecy na muzykę pokładali wagę. — „Nic bardziéj,“ mówi on, „nie jest stósowném do nakłonienia ludzi do wielkich czynów, a mianowicie do wzbudzenia w nich potrzebnéj odwagi, do znoszenia niebezpieczeństwa i trudów wojny;“ ku temu celowi używali w wojsku jedni fletu, inni liry.

Ten sam dziejopis podaje nam, że znaczenie swoje i dzieła wojenne po części Tyrteusz winien postępowi, który on, jako rymopis i muzykalny wódz, przez wynalezienie nowego instrumentu muzycznego dętego, pewnego rodzaju trąby, w sztukę wojenną wprowadził.

Aż do czasu Cycerona, muzyka legionów rzymskich, była taką samą, jak greckiéj milicyi. Późniéj, podług świadectwa Vegecyusza, bardzo się wydoskonaliła. Małą trąbką dawano znak do wyruszenia, puzona oznaczała zbliżenie się wodza, trąba wzywała do zbierania się wojska, waltornia ogłaszała rozkaz do odwrotu i porządkowała godziny nocnéj straży, wspólny odgłos trąby i rogu (kornet), był hasłem walki.

Tutaj giną ślady muzyki wojskowéj na długi przeciąg czasu. Dopiero późno znowu się we Włoszech u bardów awanturników wznowiła. Rycerstwo francuzkie późniéj jeszcze, jak wiadomo, miało swoje clairons czyli trąby, które do broni wzywały, i do walki przygrywały.

W Brantome czytamy, że roku 1550 w St. Yo, gdzie Boniret będąc oblężonym, kazał przyjść za wały bandzie skrzypków, która przez 10 dni, pół tuzina liczna, ciągle grać musiała, dopókąd gwar tylko trwał, i przy odgłosie trąb i kotłów, skakali wszyscy z uciechy.

Przy oblężeniu Lerydy dnia 8. Maja 1617, rozpoczynał pułk Szampanii, mając 24. muzykantów xięcia Kondeusza na czele, roboty nad rowami ochronnemi, przy odgłosie instrumentów i wśród dnia. Przy odporném oblężeniu, pod tém samém panowaniem, officerowie tyle byli śmiali, że mając sześciu trębaczy przy sobie, pili na wyłamie murów, a w nocy na nim tańczyli; wysadzone miny ukarały tych pijaków za ich bezczelne urąganie się.

W siedmnastym wieku zaprowadzono w niektórych korpusach oboe; ordonanse Ludwika XIV. zakazały r. 1683. piechocie francuzkiéj używanie tego instrumentu.

W początku ośmnastego wieku składała się cała muzyka wojska francuzkiego: u dragonów z fletni, u piechoty z piszczałki i bębna, trąby i kotłów u konnicy, a oboi u konnych muszkieterów.

Około środka przeszłego wieku, zaczęła piechota francuzka, za pośrednictwem armii północnéj, przejmować klarynet od Niemców, z pod Norymbergi, waltornią od Hanowerczyków, fagot od Włochów, a wielki bęben od Turków.

J. J. Rousseau mówi o milicyi niemieckiéj (*Dictionaire de Musique*), że ona od r. 1765 do 1770 najlepsze miała instrumenta. Francuzi mieli najgorsze instrumenta, ani jednéj czysto brzmiącéj trąby we Francyi niebyło.

W wojnie r. 1756, mówi tenże sam pisarz, mieli austryaccy, bawarscy i czescy chłopi, którzy będąc sami urodzonymi muzykami, niemogli przypuścić, ażeby regularne wojsko tak złą mieć mogło muzykę, wszystkie stare korpusy, za nowo zebrane, i poczęli nimi gardzić: trudnoby było obliczyć, wielu walecznych ludzi życie dla fałszywych tonów straciło.

Rousseau sam, jeden z wszystkich, dobrze zdefiniował, czém muzyka wojskowa była, lub być powinna pod względem sztuki: „Gust i duch jéj,“ mówi on, „winien być wojennym, mile brzmiącym, czasem wesołym, czasem poważnym; melodyą mieć musi zmienną, lecz przytém pojedynczą, która żołnierza rozwesela, ożywia, w pamięci jego utkwi, do śpiewu go zachęci, trudy, cierpienia i niebezpieczeństwo z myśli oddala.

W roku 1789 wybrał i zgromadził Sarette z zakładu gwardyi, 45 muzykantów, najwięcéj dzieci wojskowych tego korpusu; wkrótce pomnożył ich liczbę na 80; ciało municypalne ponosiło wydatki na ich utrzymanie. Od roku 1790 do 1792, tworzyli oni muzykę gwardyi narodowéj paryskiéj. Od roku 1792 do 1795, zrobiono z nich szkołę, do wykształcenia trębaczy dla konnicy, i muzyków półkowych dla piechoty. Z téj to szkoły utworzyło się konserwatorium.

Bonaparte, zostawszy konsulem, zniósł muzykę u konnicy. Ważne spostrzeżenie skłoniło go do tego; poznał, że użycie koni, które przepych ten wymagał, do dwudziestu pułków, tyle kosztowało, ile rynsztunki i konie jednego pułku. Pytanie na tém się zakończyło: czy jest lepiéj dla kraju mieć 20, czyli też 21 pułków.

W czasie restauracyi, minister wojny, pan Clermont-Tonnere, nie podzielał zastarzałego już zdania Bonapartego. Przywrócił pod dn. 1. Stycznia 1827 napowrót muzykę u konnicy, i aż dotąd ją zatrzymano.

W Niemczech dzielili się trębacze na uczonych i nieuczonych; pierwsi związali bractwo cechowe, które towarzystwem nazywali. Cesarz Ferdynand II. i jego kilku następców, aż do Józefa II. nadali im przywileje. A podług staroniemieckiéj ustawy, elektor saski był arcymarszałkiem wszystkich trębaczy i doboszów państwa rzymskiego.

Wiadomości historyczne o muzyce wojskowéj w Polsce, interessować zapewne będą czytelników; póżniéj zamieszczone w Przyjacielu Ludu zostaną.

Niemogę tu przytłumić życzenia, ażeby który, obeznany z historyą muzyki polskiéj w ogólności, rodak; opracować chciał dla Przyjaciela Ludu ten przedmiot. Może uczony pisarz artykułu o muzyce wielkopolskiéj i wystawie poznańskiéj i tylu innych, obdarzy nas znowu piękną pracą swoją w tym rodzaju. *W.*

Ballada, jakich wiele.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
»Mój dziadku! w tém siele
»Któż ziemskie opuścił mieszkanie?«
»Smutne to są sprawy;
»Jeżeliś ciekawy,
»Posłuchaj, opowiem mój panie.

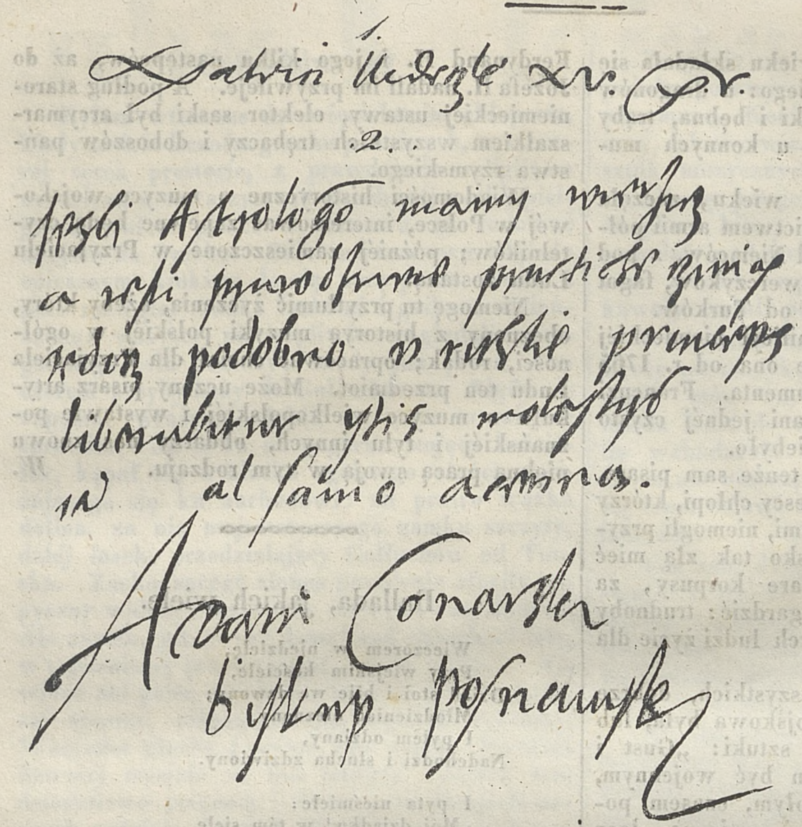
»Przed kilku latami,
»Żył we wsi téj z nami,
»Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy;
»Ni soli, ni chleba,
»Niebyło tam trzeba,
»Był czczony, kochany, szczęśliwy.

»I było ich troje;
»On z żoną we dwoje,
»A synek jedynak był trzeci;
»Wesoły, rumiany,
»Przystojnie odziany,
»Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.

»Raz ojciec z wieczora
»Powraca ze dwora,
»I wzdycha i mówi do żony:
»Mój Boże! mój Boże!
»Jak też to przy dworze,
»Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.

»Prostaczek w tym tłumie,
»Gdzie każdy coś umie,
»Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;
»I nam Bóg dał dziecię,
»Czemużby też przecie
»I ono nie było człowiekiem.

»Przedajmy dwa woły,
»Niech idzie do szkoły,
»A kto wie, co się i z nim stanie;
»Może się przy dworze
»Umieści, a może....
»A może i — księdzem zostanie.«



Facsimile:

1. Z listu arkuszowege własnoręcznego Andrzeja Petrycego Nideckiego, biskupa inflantskiego. sławnego teologa i krasomówcy, pisanego z Warszawy dnia 12. Września 1579 do Stanisława Fogelvedera.

2. Z listu dwuarkuszowego Adama Konarskiego, b. Poznańskiego, posła króla Henryka, pisanego z Wiednia dn. 22. Października 1571 do St. Fogelvedera.

» Jak rzekli, zrobili,
» Lecz grubo zbłądzili,
» Bo szczęście i w kmiecym jest stanie;
» Dobra jest nauka,
« Ale kto jéj szuka
» Nie z pychy — wszak prawda mój panie!

» Co rok więc na szkoły
» Z ojcowskiéj stodoły
» Szło zboże, z obory dobytek;
» Syn wzrastał w rozumie,
» Lecz zato i w dumie,
» Na smutny rodzicom pożytek.

» I przeszło lat wiele,
» A nikt go w tém siele
» Nie widział, w zagrodzie rodzica;
» A z cicha mówiono,
» Że w mieście tam pono
» Waszmości udaje szlachcica.

» Że w głowie ma państwo,
» Nie święte kapłaństwo:
» Że ojca wstydzi się w sukmanie;
» A Bóg się tym brzydzi,
» Kto ojca się wstydzi;
» Nieprawda? cóż wam to mój panie?

» Tym czasem oknami
» Jak mówią i drzwiami,
» Bieda się do niskiéj pcha strzechy;
» Ucieka dostatek,
» Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy.

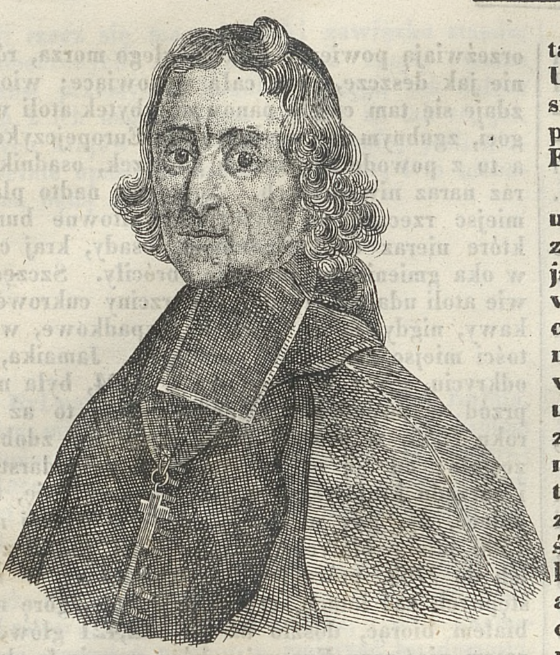
» Starcowi i nina
» W młodości życzliwa,
» Kąkole wydaje i głogi;
» Więc nieraz w potrzebie,
» Na syna, na siebie
» Zapłakał, ów człowiek ubogi.

» Aż pracą znużony,
» Aż troską strawiony,
» Raz upadł przy pługu na łanie;
» I zasnął na wieki,
» A nikt mu powieki
„Niezamknął: płaczecie mój panie?

„O! powieść nie cała,
„Wszak matka została,
„A matka biedniejsza na świecie;
„Biada jest każdemu,
„Człowieku samemu,
„Lecz stokroć samotnéj kobiecie.

„Więc pismem kazała,
„Ze łzami błagała:
„Mój synu! rzuć świetne marzenie;
„Uczcij mą siwiznę,
„Weź ojców puściznę,
„A znajdziesz spokojność i mienie."

„Ba — panie kochany!
„Groch rzucaj na ściany;
„Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi;
„I rękę przy drodze
„Wyciągnąć niebodze,
„Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.



Fenelon.

„Aż dziesiaj ją rano,
„Nieżywą zdybano,
„W swéj lubéj zagrodzie przy ścianie;
„Przez litość w téj chwili
„Jéj my to dzwonili;
„Co wam jest, dla Boga! mój panie?“

A młodzian nieznany,
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
„Jam jest ten zabójca
„I matki i ojca
„I szczęścia mojego — na wieki.

„Roiłem, marzyłem,
„Czcze mary goniłem,
„Wiatr rozwiał sny złota przedemną;
„Dziś zdrowy, zbudzony
„Przychodzę w te strony,
„Miéj litość, miéj litość nademną.

„O! dzisiaj, w tém siele,
„Ja chleb mój w popiele
„Zwalany, łzy memi obmyję;
„I jeść go zasiędę,
„I szemrać niebędę,
„Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!“

I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi,
Zalał się, w okropnym był stanie;
Dziad oczy skrył w dłonie.
A idąc, na stronie
Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!“

J. N. J.

Fenelon.

Niemasz pewnie nikogo z czytelników Przyjaciela Ludu, któryby sobie z przyjemnością nieprzypominał w latach młodzieńczych, czytania przypadków i podróży Telemaka syna Ulissesa; miło z pewnością będzie dowiedzieć się, lub sobie przypomnieć żywot autora tych pięknych i nauczających powieści, to jest Fenelona.

Franciszek Fenelon, de Salignac de la Motte, urodził się 6go Sierpnia 1652 w zamku Fenelon; z familii, w któréj wielu wysokie tak świeckie jakoteż i duchowne piastowało urzędy. Już w młodocianym wieku odznaczał się łagodnością charakteru, żywością ducha i niezwykłémi zdolnościami. Markis Fenelon, jenerał porucznik w służbie francuzkiéj, mąż sławny z męztwa, uczony i bogobojny, stryj jego, pod swoim dozorem, w Cahors, pierwsze kazał mu dawać nauki. Młodzieniec nadzwyczajne robił postępy, tak, że już w 10*tym* roku wieku swego słynął, z wymowy. Obawiając się Markis, ażeby wczesne pochwały gminu, niezepsuły tak pięknie kształcącego się serca, nakłonił swego synowca, ażeby się bardziéj jeszcze kształcił, lecz w zaciszu. Oddał go kierunkowi prałata Tronçon, przełożonego u Śgo Sulpicyusza w Paryżu. — Mając 24 lat wstąpił do zakonu, i wykonywał najuciążliwsze obowiązki w parafii Śgo Sulpicyusza. W trzy lata potem, poruczył mu arcybiskup paryski Harlaj dozór nad protestantami, którzy powrócili na łono kościoła katolickiego. Na tym urzędzie pierwsze dał dowody swych zdatności, w nauczaniu, ujmowaniu sobie, i w przekonywaniu. Król dowiedziawszy się o dobrym skutku jego usiłowań, mianował go naczelnikiem missyi do nawracania Hugenotów nad brzegami Saintonge, gdzie prosta i wzruszająca jego wymowa, połączona z łagodnymi obyczajami, najpomyślniejsze przyniosła skutki. W roku 1689 powierzył mu Ludwik XIV. wychowanie swych wnuków xiążąt Burgundyi, Anjou i Berry. Fenelon szczęśliwie wykształcił umysł xięcia Burgundyi, który przeznaczony był na przyszłego rządzcę Francyi; zaszczepił w jego sercu zaród wszelkich cnót zdobić panującego mogących, i Francya byłaby uszczęśliwioną przez niego, gdyby nie zbyt wczesna śmierć była te nadzieje zniweczyła.

W nagrodę tych zasług, mianowanym został Fenelon w r. 1695, biskupem Cambrai. Zaledwo zaczął cieszyć się z łask króla swego, gdy burza nad nim niespodzianie zbierać się poczęła. Stósunki przyjaźni, w których z panią Guyon zostawał wplątały go w spór teologiczny z Bossuetem, który przeciwko ideom religijnym tej pani powstawać zaczął, i żądał od Fenelona, dawnego ucznia swego, a teraz współzawodnika, ażeby z nim wspólnie działał. Zamiast to, napisał Fenelon swe: *Explication des maximes des Saints,* które gorliwość Bossueta, bardziéj jeszcze rozjątrzyły, tak, że wszelkie obrony i tłómaczenie się Fenelona, nic mu niepomogły. Ludwik XIV. nakazał mu powrócić do swéj dyecezyi, pani Maintenon wyrzekła go się, a

Innocenty XII. potępił jego naukę. Fenelon znosząc z tęgością duszy te nieszczęścia, poddał im się bez oporu. Żył odtąd w dyecezyi swojéj jako najgodniejszy biskup, i filozof chrześciański, i wkrótce przy pracach naukowych zapomniał obelg na wielkim doznanych świecie. W roku 1715 zakończył życie, w skutek zapalenia piersi. Rozmaite, filozoficzne, teologiczne i beletrystyczne dzieła unieśmiertelniły jego imię. Poznać z nich jeniusz, wykształcony najlepszemi starożytnemi i nowszemi pismami, pełen żywéj, miłéj i kwiecistéj wyobraźni. Styl jego jest płynny, ujmujący, czysty i harmonijny. — Najważniejszém jego dziełem są: przypadki Telemaka; w którém, jako nauczyciel książęcy, chciał dać wzór wychowania książęcego. — Podobno pokojowy jego wykradł mu rękopism i podał go do druku, który dopiero po śmierci Ludwika XIV. wolno było ukończyć. Król, będąc raz już uprzedzonym przeciwko autorowi, uwidywał w tym romansie historycznym satyrę na rządy swoje, i zakazał druk już rozpoczęty. Niechętnym łatwo było znaleść, czego szukali. Poznawali o czém się Fenelonowi ani śniło, w Kalipso panią Montespan, w Eucharysie pannę Fontanges, w Antyopie księżniczkę Burgundyi, w Protezylausie Louvois, w Idomeneusie króla Jakóba, a w Sezostrysie Ludwika XIV. Ludzie uczeni, którzy samo dzieło mieli na względzie, uwielbiali je jako mistrzowskie, zawierające dokładny morał dla panujących, w miłéj i modnéj szacie, łączące wszelkie uroki bajki, z całą siłą cnoty.

Dopiero we dwa lata po śmierci autora, wydali jego spadkobiercy całego Telemaka, w dwóch tomach.

Następnie wiele razy znowu przedrukowanym został. Liczą więcéj jak 150 rozmaitych wydań, i więcéj jak 100 tłumaczeń. Pochwały jego przez la Harpa i d'Alemberta miane, wiele zawierają interessujących szczegółów. Mamy także kilka polskich przekładów Telemaka, mianowicie wydanie Wrocławskie Korna, tłómaczenie J. Stawiarskiego i Warszawskie. *W.*

Wiadomość o koloniach tak dawnych jak i nowszych, niemniéj ich handlu.

(*Dokończenie.*)

Osady Zachodnio-Indyjskie angielskie, nierównie od powyższych ważniejsze, oprócz Demerary i Berbice w Ameryce południowéj, obejmują: Jamaikę, Barbados, S. Lucyą, Antigoe, Grenadę i Trinidad z drobniejszemi wysepkami; między temi sama Jamaika pierwsze zajmująca miejsce ma do 2,880,000 włók w połowie już niemal uprawnéj ziemi; klima jéj, jakkolwiek zwrotnikowe, skwaru pełne, orzeźwiają powiewy z przyległego morza, równie jak deszcze, zimę całą stanowiące; wiosna zdaje się tam ciągle panować, zbytek atoli wilgoci, zgubnym zawsze bywa dla Europejczyków, a to z powodu zjadliwych gorączek, osadników raz naraz niweczących. Najgorszą nadto plagą miejsc rzeczonych, bywają gwałtowne burze, które nieraz dobytek, zbiory, osady, kraj cały w oka gmieniu, w pustynie obróciły. Szczęśliwie atoli udająca się uprawa trzciny cukrowéj i kawy, nigdy, mimo te klęski wypadkowe, wartości miejsc zmniejszyć nie mogła. Jamaika, po odkryciu, przez K. Kolumba w 1494, była najprzód w posiadaniu hiszpańskiém i to aż do roku 1655, w którym przez Anglików zdobytą została; od téj epoki z poprawą gospodarstwa i zarządu krajowego, wzrost jéj zaczął się, tak dalece, że, gdy w chwili zdobycia więcéj nad 1500 miała białych, w roku 1673 już liczyła ich do 7768, prócz 9500 niewolników; w następnych zaś latach, czarne pokolenie, górę nad białém biorąc, doszło aż do 322,421 głów, a zatem pięć razy Europejczyków przeniosło, których jedynie na 30,000 teraz podają. Co do wartości rocznie wprowadzanych do Jamajki towarów, ta 1,600,000 funt. szterl. wynósi, z których jednak niemało na składy przyjmuje i daléj znów rozséła. *Barbados,* między wszystkiemi zachodnich Indyi wyspami, najlepiéj zagospodarowana, ma do 100,000 włók ziemi, 16 tysiącami białych, 2700 czarnych usamowolnionych i 68000 niewolników, zaludnionéj. — W ostatnich wojnach, Demerara, Berbice i Essequibo w Gujanie, na Holendrach zdobyte, pełne są osad zamożnych. Rum, z Demerary prowadzony, najwięcéj pokupny; w samym 1832 wydały go osady te do 1,415,449 gallonów. Nie zapuszczając się daléj w szczegółowe opisy osad tych, zobaczmy jeszcze statystyczny, ogółowy wykaz wszelkich artykułów z osad wschodnio-indyjskich angielskich, z roku 1832 wyprowadzonych.

	cent. cukru	fun. kaw.	gal. rum.
Antigoa wydała	143,336	49,888	29,173
Barbados	266,464	158,191	5,740
Dominika	58,270	1,350,401	34,599
Grenada	188,231	8,749	103,654
Jamajka	1,431,689	19405843	2757053
Montserrat	20,855	164	11,504
Newis	39,843	112	11,189
S. Kitts (Christ.)	80,602	1074	29,951
S. Łucya	47,965	84,512	6,544
S. Wincenty	186,812	—	29,732
Tabago	108,100	—	281,651
Tortola	14,999	—	108
S. Trójca	312,265	91,522	5,566
Bermudas	—	33	30
Demerara	736,561	1,200,791	1293255
Berbice	137,451	2,291,497	122,194

Jakkolwiek z powyższego wykazu, stan osad angielskich zdaje się dość kwitnący, inaczéj

atoli rzecz się ma od epoki zawiązku stanów zjednoczonych Ameryki, gdyż ciągły tamże wzrost przemysłu, handlu i potęgi, tak dalece górę z ich uszczerbkiem bierze; ze tak te, jak innych krajów europejskich kolonie, jeśli niezupełnie upaść, to usamowolnić się, i to niebawem, będą zmuszone.

Kojata.

(Powieść gminna.)

Był pewnego czasu król, nazwiskiem Kojata, który miał brodę aż do kolan, a był królem potężnym; posiadał bogactw, co nie miara; pałace jego błyszczały od srebra i złota, jednak czuł się nieszczęśliwym, bo mu Pan Bóg nie dał potomstwa.

Zdarzyło się raz, że Kojata postanowił objeżdżać kraje swoje; pożegnawszy się tedy z królową, puścił się w podróż, i po roku dopiero, zaczął z powrotem zmierzać ku domowi.

Pewnego dnia, upał był nieznośny, zdawało się, że żywy ogień pada z nieba na ziemię; rozkazał więc król swoim dworzanom rozbić namioty, i pod niemi chciał czekać za wieczornym chłodem.

Wtém mu się pić zachciało; a nigdzie kropli wody znaleść nie było mozna.

Spragniony i zniecierpliwiony Kojata, wsiadł sam na konia i szukał zdroju w okolicy. Ledwie co kilka staj ujechał, postrzegł studzienkę pełną kryształowéj wody. Na wierzchu pływał puhar złoty. Kojata sięgnął co tchu po niego, ale o cuda! ilekroć razy miał go już, już uchwycić, zawsze mu się puhar wymknął z pod ręki; plusnął jak rybka, zanurzył się pod wodę, znowu wypłynął i znowu zniknął.

„Nie dam ja z siebie żartować!“ pomyślał król Kojata, położył się jak długi przed studnią, przytknął usta do wody i pił sobie po prostu, nie zważając na to, że długa jego broda, zanurzyła się w studni!

Napiwszy się do woli, chce wstawać; a tu oto nie można, bo go ktoś w wodzie silnie trzyma za brodę.

„Kto tam? Puszczaj!“ wrzasnął król obrażony, ale miasto odpowiedzieć, pokazała się tylko twarz straszliwa z pod wody! Dwoje zielonych ócz tkwiło głęboko w głowie; w brodzie królewskiéj topiły się dwie orle szpony; a usta wykrzywione śmiechem szyderskim, przemówiły chrapliwie te słowa: „Daremnie wy„dzierasz mi się o królu! Nie puszczę ja ciebie „piérwéj, póki mi nie przysięzesz, że dostanę to „z twego domu, o czém ty wcale nie wiesz.“

Król Kojata pomyślał sobie: „Nie może to „być rzecz wielkiéj wagi, kiedy o niéj nie wiem! „i przyrzekł ją poczwarze!“

W téj chwili uczuł się wolnym i usłyszał te słowa: „Jeżeli złamiesz przysięgę, biada ci, biada!“

Potém podniósł się z ziemi, otrząsnął brodę z wody, jak kaczka, kiedy się znurzy i strzepie; wsiadł na koń i ruszył daléj.

Nie pamiętam, jak tam długo jeszcze podróżował; ale, gdy dojeżdżał do stołecznego swego miasta, wyszedł lud cały naprzeciw niego z okrzykami radości. Na progu pałacowym, przywitała go piękna królowa, trzymając małe dziecię na ręku.

Kojata zbladł jak czecheł śmiertelny; zwiesił głowę na piersi i wyrzekł smętnym głosem: „Więc to dziecię moje, o którém nie wiedziałem.“

I dwie duże łzy spłynęły na siwą jego brodę, a lud cały zdumiał się niepomału; ale nikt nie śmiał pytać się o przyczynę smutku. Nikt téż nie dociekł tajemnicy króla, chociaż wszyscy widzieli, że ma jakiegoś robaka w sercu, który go toczy i gryzie. Dni mu schodziły na niepokoju; nocą sen mu z powiek uciekał.

Tak minęło miesięcy i lat nie mało. Królewicz tymczasem wyrósł już nad chłopca, i był najpiękniejszym z młodzieży; a król Kojata zapomniał zupełnie o owém zdarzeniu przy studni. Ale był ktoś, co lepiéj o tém pamiętał!

Zdarzyło się, że królewicz wyjechał pewnego dnia na polowanie! Ścigając ranionego zwierza, oddalił się od reszty myśliwych. Był sam w miejscu najdzikszém; w około niego drzewa rosochate i cisza głęboka! Na raz coś mu nad głową między liściem szeleścić poczęło, i wnet ukazał się pomiędzy gałęziami jakiś staruszek dziwaczny i zlazł na ziemię; broda jego i oczy zapadłe, były zielone!

„Witam cię, królewiczu Milanie, rzekł dzia„dek, dosyć długo czekałem na ciebie; przecieś „mię wreście nawiedził!“

„„Ktoś ty, starcze?““ zapytał się królewicz.

„O tém, potém! Teraz słuchaj, co ci po„wiem. Pozdrów odemnie twego ojca, króla „Kojatę i przypomnij mu o długu, który już „dawno miał mi być wypłacony! Wkrótce się „znowu zobaczymy!“

To mówiąc, zniknął dziwaczny staruszek, a królewicz zdumiony wrócił do domu, i opowiedział ojcu, całe to zdarzenie. Król Kojata, słysząc o starcu z zielonemi oczyma, pobladł jak czecheł śmiertelny i zawołał boleśnie: „O biada „ci, biada! synu mój ukochany, królewiczu Mi„lanie! Wkrótce trzeba nam się będzie roz„łączyć!“ Tutaj odkrył ze łzami okropną swoję tajemnicę i przysięgę, którą wykonał przed laty!

„„Nie płacz mój ojcze!““ rzekł wesoło kró„„lewicz, nie taki to djabeł czarny, jak go zwy„„kle malują! Każ mi no okulbaczyć cisaka „„mojego, a dam ja sobie radę na świecie. „„Gdybym jednak po roku, po siedmiu tygo„„dniach i po siedmiu dniach nie powrócił, to „„mnie już na téj ziemi nie zobaczysz!““

Przygotowano wnet wszystko do odjazdu Milana. Król ojciec dał mu złote strzemiona, miecz stalowy i błogosławieństwo swoje; królowa matka zawiesiła mu na szyi krzyż złoty, i przeżegnała po trzykroć. Królewicz Milan puścił się wreszcie w podróż.

Ciekawi pewno jesteście, jak mu się w owéj podróży powodzi? Oto jechał bez ustanku, jeden dzień, drugi i trzeci; a gdy słońce po czwarty raz za góry się spuściło, stanął nad przestronném jeziorem. Powierzchnia jego, jak szyba wygładzona, pod strych równała się z brzegami: zdało się, że lada wietrzyk przechluśnie bałwanem na ziemię; ale wietrzyk nawet nie śmiał zamącić przezroczystéj wody, w któréj się przeglądało nadbrzeżne sitowie i kilka chmurek wieczornych. Królewicz Milan nadjechał bliżéj; i dla czegoż to z takiém podziwieniem spogląda przed siebie? Oto trzydzieści szarych kaczek pływa i kąpie się w jeziorze, a nad brzegiem leży trzydzieści koszul białych, jak mleko! Milan zsiadł z konia, przyczołgał się między trawą i krzakami, wziął jednę koszulkę, i czekał, co się daléj stanie.

Kaczki tymczasem nurzają się i strzepują skrzydełkami, igrają z falami i kąpią się do woli, a potem dwadzieścia i dziewięć wypłynęło na brzeg, skłoniło się ku ziemi i wszystkie zamieniły się w przecudne dziewice, wszystkie wdziały na siebie koszulki i znikły! Tylko trzydziesta została na wodzie; krąży ona, żałośnie wyrzekając, nad brzegiem; wyciąga szyjkę do góry, wzlatuje i spada, aż jéj się Milanowi żal zrobiło! Wyszedł więc z ukrycia na widok, a kaczka ozwała się do niego ludzkim głosem: „Królewiczu Milanie, oddaj mi moją koszulę, a „nie pożałujesz tego!“

Wysłuchał Milan téj prośby i położył koszulę na trawie! W téj chwili stawa przed nim dziewica tak piękna, jakiéj dziś nie masz pod słońcem, ani w powieściach, ani w gadkach cudownych!

Zarumieniona, podała mu rękę i rzekła: „Dzięki ci, królewiczu Milanie, żeś mojéj prośby wysłuchał. Nie pożałujesz tego, powtarzam, bo ja jestem córką czarno-xiężnika *Czernucha*, imię moje *Welena*. Jest nas sióstr trzydzieści; a ojciec nasz panuje w królestwie podziemném, nad tysiącami zamków i pałaców przepysznych. Od dawna oczekuje już ciebie i gniewa się, że tak długo nie przybywasz! Ale bądź spokojny, królewiczu, i słuchaj mojéj rady. Skoro staniesz przed ojcem Czernuchem, królem krajów podziemnych, padnij na kolana i czołgaj się ku niemu. Chociażby zgrzytał zębami, i tupał nogą o ziemię, nie zważaj na to królewiczu! a teraz za mną, hop! hop! hop!“ To rzekłszy, tupnęła nóżką, i wraz z Milanem przepadła się w ziemię!

W królestwie podziemnem stał pałac zbudowany z węgli pałających i oświecał ciemnicę, jak słońce oświeca ziemię naszę. Był to pałac czarno-księżnika Czernucha. Królewicz Milan śmiało wszedł do niego.

Czernuch siedział na tronie ognistym: czoło zdobiła mu świetna korona, a oczy iskrzyły się jak dwa szmaragdy zielone; skoro go Milan zobaczył, upadł na kolana i czołgał się ku niemu.

Czarno-xiężnik tupnął nogami i zawył, aż podwaliny pałacu zadrżały! ale królewicz, pamiętny słów Weleny, czołgał się coraz bliżéj, złożywszy ręce na piersiach. „Wygrałeś hul„taju przyprowadzając mnie twoją postawą do „śmiechu,“ zawołał Czernuch i zaśmiał się serdecznie, „inaczéj byłbyś zginął niemylnie; a „więc zgoda między nami; za opieszałość je„dnak twoję w przybyciu, wykonasz mi trzy „zadane roboty! Najprzód wybudujesz nocy „dzisiejszéj pałac z marmuru; okna w ścianach „mają być kryształowe, a dach złoty. Jeżeli „mi taki pałac wystawisz, to dobrze, a nie, to „się pożegnaj z twoją głową!“

Czarno-xiężnik skinął ręką, dwóch służących przyskoczyło, wzięło Milana pod ręce i wprowadzono go do przepysznego pokoju, w którym stało łóżko dlań przygotowane; na próżno jednak nęciło go miękkim puchem do siebie; on zdrów jak ryba, a jutro ma umrzeć; więc pewno ostatniéj nocy przed śmiercią nie zaśnie! Smutnemi myślami zajęty siedział Milan przy oknie. W tem nadleciała mała pszczółka i brzęcząc skrzydełkami po szybach, wołała bez ustanku: „Wpuść mnie! wpuść mnie!“ Milan otworzył okno, a pszczółka zamieniła się w téj chwili w piękną Welenę i rzekła: „Witam cię, „królewiczu! ale, czemuż to tak smutno?“

„„Jutro mam umrzeć, z ręki twego ojca,““ odpowiedział zimno królewicz.

„Nie umrzesz, przysięgam! Jutro przed świ„tem stanie pałac gotowy; a ty chodź z siekierą „do koła, jak gdybyś coś jeszcze poprawiał!“

I tak się też stało. Przed wschodem chodził już Milan z siekierą koło przepysznego pałacu, jakby coś jeszcze poprawiał!

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)